



2
Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza
RSW
„Prasa-Książka-Ruch”

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

KULTURA

00-902 Warszawa, ul. Wiejska 12

Nr 33 z dn. 13-08-86

KRONIKA WYPADKÓW MUZYCZNYCH

66) Koniec sezonu

Zapowiedziane na tym miejscu parę tygodni temu warszawskie występy amerykańskiego barytona Sherrilla Milnesa nie doszły niestety — podobnie, jak parę innych w tym sezonie — do szczęśliwego skutku. Gwiazda w ostatniej chwili wystawiła na nas plecy i zostawiła warszawiaków na lodzie. Trudno, przeżyjemy i to! Na zakończenie sezonu dyrektor Kord planował koncertowe wykonanie „Aidy” Verdiego, ale okazało się, że tę samą operę szykuje na nieco późniejszy termin Teatr Wielki (ciekawe, od wakacji zeszłego roku wiadomo było o filharmonicznych planach i przez tyle czasu nie można było tego uzgodnić?), więc Filharmonia uprzejmie ustąpiła Operze. Mielśmy nadzieję, że jedno operowe dzieło będzie zastąpione drugim, aby można było utrzymać się w przyjętej konwencji (czemu nie „Lunaticzka” albo „Gloconda” od lat nie słyszane w stolicy, a jeśli już koniecznie Verdi, to na przykład „Giovanna d’Arco”, „Ernani” albo choćby „Simone Boccanegra”).

No, ale co było, a nie jest... Dobrą operę Verdiego postanowiono zastąpić dziełem wokalnym Liszta (pod piórem już mieliśmy „kiepską operę Liszta”, ale pohamowaliśmy się w ostatniej chwili) pod tytułem „Święta Elżbieta”. Co dziwne, nie dopisała publiczność, która — jak dotąd — pchała się w Warszawie drzwiami i oknami na wszelkie muzyczne produkcje o treści religijnej. Tym ra-

zem nie przyszła: na sali było wstrętne pustawo. A trzeba wyraźnie powiedzieć, że tym razem nos publiczności zawiodł na całej linii.

Dzieło nie jest szczególnie wstrząsające, to prawda, ale mimo wszystko obszerne, dostojne i potężne, może utrzymane w chałturnicznym stylu, ale przecież spektakularne i budzące szacunek. Franciszek Liszt oglądał się najwyraźniej na utwory swego przyszłego zięcia (w 1865 roku, gdy odbywała się budapeszteńska prapremiera „Elżbiety”, chyba jeszcze nie wiedział, co go czeka) ale nie ma co kryć, że zięciaszek w tym właśnie rzemiośle był teścia na głowę: patetyczne pozerstwo Wagnera jest naturalne i spontaniczne, u Liszta okazuje się często sztuczne i nadęte. Wielki pianista nie okazał się równie swobodnym mistrzem, gdy przyszło do operowania nie tylko dziesięcioma palcami, ale armią ludzi. Dobrze, że Chopin nie dał się uwieść podobnym podszepotom otaczających go akolitów!

Ale, mimo iż nie jest to wielka muzyka, jest w końcu dziełem mistrza nad mistrze: kompozytor nie pokazał się tu z najlepszej strony wobec historii, ale trafił idealnie w gust własnej epoki. A warszawskie wykonanie doprawdy mogło wzbudzić szacunek. Głosy solistów odznaczały się jeśli nie szczególną urodą, to przecież zdrowiem, solidnością i siłą; wykonawcy głównych ról (sopran i baryton) bardzo wdzięcznie odśpiewali, co do nich należało, reszta głosów (do najmniejszych postaci) także mogła zadowolić wy-

brednych słuchaczy (obym na co dzień nie musiał słuchać gorszych!). Chór na europejskim poziomie, orkiestra grająca tak, jakby chciała zrobić szczególną przyjemność swemu szefowi — czego trzeba więcej? Dyrektor Kord doskonale czuje tego rodzaju utwory wymagające wielkich wymiarów i blasku (szkoda tej „Aidy”...) prowadził więc „Elżbietę” z satysfakcją i radością. W całości więc Filharmonia pożegnała się z sezonem w sposób godny i efektowny; potraktowała publiczność z szacunkiem, a to powinno spotkać się z właściwą reakcją i drugiej strony. Klaniamy się zatem uprzejmie i z podziękowaniem: to był przyzwoity i porządny sezon, a że go zachmurzona pogoda trochę popsuka, cóż na to można poradzić?

I wreszcie parę słów na temat premiery „Aidy” w Teatrze Wielkim, tej właśnie, która konkurowała z filharmonicznymi. Warszawska inscenizacja charakteryzuje się wyraźnym załamaniem między płaszczyzną sceniczną a płaszczyzną muzyczną. Ta pierwsza jest ponad wszelką wątpliwość udana, mimo paru tak zwanych radosnych pomysłów reżysera (czy scenografa?), bo efekt goni efekt, scena kapie od złota, wielki bałwan z płonącymi oczami jeździ w tył i w przód, statek faraonówny wygląda niczym wyobrażenie marzeń uciskanego ludu o luksusach, w jakich pławia się promineni (i tak powinien wyglądać!).

Mniej udane wydawało nam się zakomponowanie sceny triumfu, bo

właśnie żadnego triumfu nie ma: wszyscy, łącznie z chórem, wklejeni są piętrami rząd po rzędzie w wielką złotą ścianę, przypominającą albo plaster z pszczołami, albo katakumby, przed tą ścianą wije się kilkunastu nędzarzy w czarnych strojach (egzystencjalistyczny Paryż, czy jak?) i to wszystko. Ale widywaliśmy już w życiu jeszcze gorsze rzeczy (na przykład wypchanego słonia...) więc nie narzekamy za bardzo. Bardzo udane, konsekwentne i pełne nieco lubieżnego wdzięku sceny ruchowe zakomponował pan Gruca.

Słowem — ogląda się ciekawie i z przyjemnością. Gorzej ze słuchaniem. Dyrygent, pan Hoffmann, nie ujawnia, jakoby miał w ogóle jakikolwiek własny stosunek do tej muzyki; czyni wrażenie zadowolonego z mniej więcej poprawnego odmierzenia taktów. W jednym słowie: orkiestra nie żyje, nie pulsuje, nie śpiewa, jest obojętnym, a nie inspirującym elementem przedstawienia.

Na premierze obsadę tworzyli przedstawiciele tak zwanej starej i najstarszej warszawskiej gwardii śpiewaków. Niektórzy wzbudzili naszą żywą sympatię (pan Edmund Kossowski, który po bohatersku pozwolił sobą bujać w powietrzu, a przy tym doskonale — jak zwykle — śpiewał), niektórych słuchaliśmy obojętnie, niektórych z przerażeniem. Ale autentyczny triumf odniosła na pewno pani Barbara Zagórzanka w tytułowej roli: liryczna, subtelna wysmakowana Aida o naprawdę pięknym (z roli na rolę piękniejszym) głosie, a przy tym z konsekwentnie przemyślaną od początku do końca wizją roli. Może stanąć z tą rolą na każdej scenie. Warto się wybrać do teatru, choćby tylko po to, by jej posłuchać.

**Anna Karnicka
Janusz Łętowski**